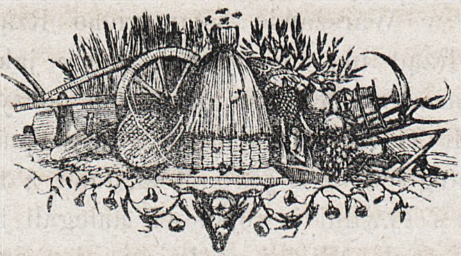
Tom XIV. Nr. 12.

21. kwietnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1830.

III. Jenerał Chłopicki.

Wiecie już tedy, kochani bracia, jak wybuchło powstanie w Warszawie. Opowiemy wam teraz, co się stało po owej pamiętnej na zawsze nocy z dnia 29. listopada. Wielki książę Konstanty, co to taki był zuch i okrutnik, kiedy w mieście spokój panował, jak czmychnął z Warszawy z moskiewskiem wojskiem, to aż odetchnął sobie po wielkim strachu w małej karczmie za rogatkami i tam obstawiwszy się do koła moskiewskimi sałdatami, czekał co dalej będzie. W malutkiej izbinie z jednem oknem między żydowskiemi betami siedział teraz okrutnik i wysełał jeno ciągle do miasta na zwiady, co się tam dzieje. A myślał jeszcze zawsze, że Polacy nastraszą się i sami go przeproszą i nazad pod jarzmo moskiewskiej niewoli powrócą.

Ale grubo się pomylił Moskal. Choć tam bowiem w Warszawie byli tacy nicponie i mazgaje, co radzili ludowi, aby porzucił broń i Moskala przeprosił, to sobie nikt o tem ani

mówić nie dał a wszyscy byli gotowi bić się do ostatniej kropli krwi za wolność ojczyzny.

Zaraz też w Warszawie ustanowiono Rząd tymczasowy, ale cóż kiedy Rząd ten nie był tak dobry jak tego potrzeba i jakoś sobie zaraz z początku niezdarnie poczynał. A już to najgorzej zrobili ci panowie odrazu, że wypuścili Wielkiego księcia Konstantego wraz z jego Moskalami z Polski. Gorętsi i śmielsi ludzie, i cywilni i wojskowi, nalegali na to, aby polskie wojsko otoczyło Wielkiego księcia i pojmało go razem z wojskiem, ale nie dokazali swego, bo Rząd pozwolił temu moskiewskiemu okrutnikowi wymaszerować z swojem wojskiem z Polski ze zdrowemi kośćmi do Moskwy.

Tak to widzicie, zgrzeszyli tu Polacy przez swą dobroć i szlachetność, bo zamiast pojmać i rozbroić moskiewskie tałałajstwo, puścili je wolno do domu. Żałowali też później tego ale już po niewczasie!

Kiedy tak Warszawianie napędziwszy Moskalów oddechają sobie swobodnie i radują się na wolności, poczyna się też ściągać polskie wojsko, co było rozkwaterowane po innych miastach. Gdzie tylko zabiegła wiadomość o wypędzeniu Moskali, zaraz polskie bataliony maszerowały do Warszawy, aby się tu na pogotowiu gromadzić do boju. Lud warszawski, który uzbroiwszy się chciał się bić koniecznie i iść na Wielkiego księcia i jego wojsko, witał swoich żołnierzy z wielką radością. Ogromna uciecha była w Warszawie, kiedy dzielni wojacy polscy wmaszerowywali do Warszawy, a nikt nawet tej radości dobrze opisać nie potrafi. Mieszkańcy gromadzili się okrutnemi tłumami i wołali:

— Niech żyje wojsko polskie!

Wszystkie domy były postrojone w wieńce na znak radości, wojsko polskie miało na swych chorągwiach kwiaty a jak Warszawa szeroka i długa, tak grzmiały w niej kapele wojskowe, aż serce i dusza się radowały! Wszystko się też zbroiło, lud, studenci, co mogło, to gotowało się do wojny. Ogłoszono już teraz i na cały kraj polski powstanie i wojnę, dano znać po wszystkich wsiach i wzywano do broni.

Chodziło teraz o to, aby obrać głowę dla wojska i całego kraju. A był podówczas jeden sławny i bardzo waleczny jenerał polski, Chłopicki. Ten Chłopicki służył był jeszcze pod cesarzem Napoleonem i wielką sobie sławę zjednał, a wojsko polskie tak go lubiło serdecznie, że każdziusieńki żołnierz w ogień byłby skoczył za nim. Otóż Rząd tymczasowy oddał wszelką władzę, jak gdyby królewską, temu jenerałowi Chłopickiemu, czyli zrobił go dyktatorem, co tyle znaczy co nieograniczony władzca, któremu wszystko jakby monarsze ma być posłuszne, a on przed nikiem nie odpowiada, jeno przed Bogiem i ojczyzną.

Wielka była radość w Warszawie, kiedy dnia 5. grudnia jenerał Chłopicki objął tę najwyższą władzę. W całem mieście wołano: „Niech żyje Chłopicki! Niech żyje ojczyzna!“ Wieczór tego samego dnia była wielka uroczystość w teatrze, lud ściskał i całował żołnierzy, każdy to skakał to płakał z radości, że taki dzielny żołnierz będzie całą sprawą kierował.

Ale pokazało się na nieszczęście, że radość ta była przedwczesna. Jenerał Chłopicki, choć był taki waleczny i dzielny żołnierz, kiepsko poprowadził sprawę. Nie umiał sobie dać rady, nie wziął się gorąco do czynu, choć wszystko tylko czekało na jego rozkazy, jeno czegoś namyślał się i namyślał i jakby się za czemś oglądał jeszcze. Ciężko tem przewinił Chłopicki i krzywdę wyrządził ojczyźnie — bo najlepszy czas upłynął, a nic się jeszcze nie zrobiło na uzbrojenie narodu przeciw Moskalom.

Nie długo też był naczelnikiem jenerał Chłopicki. Złożył on sam tę godność a na jego miejsce ustanowiono nowy rząd, w którym był najstarszym książe Adam Czartoryski. Zjechał się także sejm polski, aby obradować nad stanem kraju i wydał taką uchwałę, jako już Mikołaj przestaje być monarchą dla Polski i jako ani on ani jego familia na tronie polskim nigdy już nie będzie.

Wzięto się teraz już trochę spieszniej do uzbrajania, lano armaty, brano rekrutów i zwoływano z urlopu polskich żołnierzy. Była też to już najwyższa pora do tego, bo car moskiewski wysłał był już okrutną ćmę wojska, aby Polskę znowu

okuć w kajdany niewoli. Jenerał moskiewski Dybicz przymaszerował w styczniu roku 1831 z 170 tysiącami wojska na granicę Polski, a 6. lutego już cała ta ćma Moskali wwaliła się na polską ziemię.

Jak dalej poszło znowu aż później opowiemy. Tymczasem zaś podajemy wam tu piosnkę o Dzwonie — a abyście zrozumieli, o co tu chodzi, to wam jeszcze powiemy, że jak to powstanie polskie już wybuchło, tak ze wszystkich kościołów zwożono dzwony do Warszawy, aby je przelewać na armaty przeciw Moskalom.

DZWON.

Na gościńcu do stolicy
Pełno ludzi i pogłosek.
Wiozą dzwony z okolicy,
I z pobliskich wiosek.

Pod Kaliszem w wiosce małej
Na dniu jasnym cud ujrzano:
W dzień świąteczny był lud cały
Na mszy świętej rano.

W samą chwilę podniesienia
Runął z wieży, sklepieniami,
Dzwon największy — a z podsienia
Przemówił słowami:

— Od pół wieku lud mój płacze,
Bo chleb polski żywi wroga!
Lecz i płacze i rozpacze
Nie dochodzą Boga!

Jam ludowi jękiem wtórzył,
Przez pół wieku rany koił.
Płacz był próżny, jęk nie służył,
Moskal w kraju broil

Dziś sprzykrzyłem próżne jęki,
Przyprowadźcie sto par wołów,
I dołóżcie silnej ręki,
A zbędziem mozołów.

Na okopach pod Warszawą
We trzy działa się rozpłynę,
I odezwą zwołam krwawą,
Do modłów rodzinę.

Tam opowiem moje żale,
Lecz nie żale to już płonne,
Ha zadzwonię, a podzwonne
Zapłacą Moskale.

Wincenty Pol

Proces o łąkę.

Stare to i dobre przysłowie: „Lepsza słomiana zgoda, niżli złoty proces“ — ale cóż z tego, kiedy to nie wszyscy ludzie uznają tę świętą prawdę. Jest po naszych wsiach dużo

jeszcze takich kmieci, co nad wszelką zgodę przenoszą procesy i lada o co włóczą się po sądach i urzędach, pozywają, skarżą, płacą za papiery i stemple, a tym sposobem choć wygrają sprawę, to więcej na tem stracą, niż cały proces był wart.

Opowiem wam historyę o dwóch gospodarzach, co się procesowali o łąkę, a przekonacie się jak to się na tem nieraz źle wychodzi. Żyło we wsi Sławczynie dwóch sąsiadów Wojciech Truś i Marek Zasoba. Otóż obaj ci gospodarze sąsiadowali z sobą nie tylko chatami ale i gruntami i mieli także wspólną łąkę. Jedna połowa tej łąki należała do Wojciecha, druga do Marka i obaj też z niej po połowie zbierali siano. Długo tak było i zawsze panowała święta zgoda, aż naraz licho jakieś wmięszało się do tego i powadziło obu gospodarzy.

A już to Bogiem a prawdą dał temu przyczynę Wojciech Truś. Zeszedł się pewnego razu z jakimś pijakiem pisarzem w karczmie, a pisarz ten zaczął mu tłumaczyć, że ta łąka nie powinna być wspólna, jeno należeć ma do Wojciecha.

— To jest wasza krzywda Wojciechu — mówił niecnota pisarz — bo ta łąka jak Bóg na niebie calutka do was należy, a Marek Zasoba nie ma do niej żadnego prawa. Ja wam się też bardzo dziwię gospodarzu, że wy to tak długo cierpicie i pozwalacie na to, aby Zasoba połowy łąki dla siebie używał, kiedy to widoczna prawda jak słońce na niebie, że ta łąka cała jest wasza.

— Ej dajcie tam pokój — rzecze na to Wojciech — tak to już było między nami z dziada pradziada, że zawsze Trusiowie i Zasoby na spół tę łąkę posiadali, więc w tem musi już być dobre prawo.

— Owa, co mi za prawo! — dogadywał pisarz — że z waszej łąki dziad i ojciec Zasoby korzystał, to nic innego nie dowodzi, jeno że się wam jeszcze większa stała krzywda, bo na swoim majątku już tak dawno tracicie!

I jak zaczął dogadywać Wojciechowi, jak go zaczął namawiać, tak dokazał tego, że Wojciech dał się zbałamucić i dał pisarzowi na papier i stempel, aby Markowi Zasobie wytoczył proces o połowę łąki i o wynagrodzenie wszelkiej szkody.

Kiedy już ów pisarz namówił tak Wojciecha, poszedł zdrajca do Marka Zasoby i tak mu mówi:

— Wiecie co panie gospodarzu, Wojciech powiada, że wy macie bezprawnie tę połowę łąki i że jemu cała się patrzy i będzie was zapozywał do sądu.

— A jemu co Pan Bóg dał? — zawołał zdziwiony Marek — a cóż ja teraz poczę?

— Nie ma innej rady, jeno wy go musicie uprzedzić i wytoczyć także proces o całą łąkę przed sądem, bo inaczej przegracie.

— Ale kiedy bo ta łąka po prawdzie jest nam wspólna? — mówi na to Zasoba.

— No to i cóż z tego, to może wy wolicie, abyście nic nie mieli, a on całą łąkę dla siebie wyprawował? Lepiej zawczasu zapobiegać, bo potem już przepadło.

— No to możebyście mi napisali pismo do urzędu panie pisarzu? — rzecze Zasoba.

— Tego wam już zrobić nie mogę — odpowiada pisarz — ale idźcie do mego brata do miasta, a on wam tę całą sprawę wyszykuje jak się patrzy i będziecie widzieli, że wygracie, jak amen w pacierzu!

Tak to robią ci pisarze, co to was kochani ludzie bałamucą i do procesów namawiają! Tak też zrobił i ów pisarz; dla własnego zysku namówił Wojciecha do procesu o łąkę — a potem podjudził jeszcze i Zasobę, a że już sam wziął pie piądze od Wojciecha, więc odesłał Zasobę do swego brata, aby w tym łotrowskim procesie tamten także zarobił.

— Ja będę dusił pieniądze od Wojciecha mówił sam do siebie pisarz — a mój brat od Zasoby, i tak oba zyskamy na tem, jak się ci dwaj durnie będą procesowali!

I udało się akuratnie zdrajcy, bo Zasoba pobiegł zaraz do miasta do owego pisarzowego brata, dał na skargę i na stempel i o całą łąkę swego sąsiada zaskarżył. I otóż patrzcie dostał sąd naraz aż dwie skargi o jedną łąkę, Wojciech Truś utrzymywał, że to jego cała łąka, a Marek Zasoba, że to znów do niego cała należy.

Kiedy się rozpoczął ten nieszczęsny proces, już też było całkiem naturalnie po zgodzie między oboma sąsiadami. Truś i Zasoba, jak się dawniej lubili i przyjaźnili między sobą, tak znowu teraz darli się z sobą jak pies z kotem i patrzyli na siebie nawzajem jak dwa śmiertelne wrogi.

Wnet też gruchnęło po wsi całej, że Truś i Zasoba wytoczyli sobie wzajemnie proces o całą łąkę. A był we wsi pewien stary i bywały gazda, człek bardzo uczciwy i doświadczony, Walenty, ten tedy umyślnie idzie do Trusia i do Zasoby i perswaduje im, jako to źle i niepożytecznie jest procesować się o to, czem się ich ojcowie i dziadowie wspólnie i w świętej zgodzie dzielili.

Ale obaj proceśnicy, ani słuchać tego nie chcą. Walenty prosi ich i namawia, aby się pogodzili, ale taki z tego pożytek, jakby kto groch rzucał o ścianę. Mówi tedy do nich Walenty:

— No moi kochani, kiedy nie, to nie! Nie chcecie żyć w zgodzie z sobą, jak wasi dziadowie i ojcowie żyli, to niech i tak będzie, zakosztujecie tego dobrego! Nie chcecie mnie starego bywalca słuchać, co wam dobrze życzę, to zróbcież mi choć jedno, o co was bardzo proszę.

— A czegoż to chcecie? — zapytali Truś i Zasoba.

— Oto moi kochani, jak kiedy będziecie dawali na stemple i na papiery, to za każdym razem przyjdźcie do mnie i powiedzcie mi o tem, bo jabym rad wiedzieć, ile was ten cały proces będzie kosztować, bo ot już ja taki ciekawy z natury.

Kiedy już tak proces zapadł w sądzie, zaczęły się zaraz przykrości rozmaite sypać na obu sąsiadów bez miary i końca. Najpierw tedy nie mógł już teraz ani Truś ani Zasoba nawet palcem dotknąć łąki, bo jeszcze sąd nie rozstrzygnął, do kogo ona należy. Zamiast tedy, jak to dawniej za zgody bywało, używać sobie wspólnie po połowie łąki, musieli obaj sąsiedzi patrzeć, jak cała łąka marnie leżała, i trawa najpiękniejsza, coby z niej była nie jedna furka siana, schła marnie. Dawniej Truś i Zasoba po kilka furek siana mają z łąki dla siebie — a dziś nie ma już czem chudoby podkarmić.

Tymczasem sprawa w sądzie, wlecze się i wlecze i Bóg wie kiedy się skończy, a koszta okrutne. Pisarze wyciągają ostatni grosz z Trusia i Zasoby, szachrują zdrajcy jak mogą, łudzą reński po reńskim, a końca jak nie ma, tak nie ma. Zaś stary Walenty wypytuje się zawsze, ile za każdym razem dali Truś i Zasoba na stemple, na komisye i dla pisarzów i zapisuje sobie to za każdym razem na papierze. Tak minął rok cały a już i drugi był w połowie. Łąka leżała marnie, komisya z urzędu zjeżdżała dwa razy, koszta były okrutne. Truś i Zasoba stracili na proces cały grosz uskładany za lepszych czasów, ale i to nie starczyło, musieli się zadłużyć u żydów a w procesie jak nie ma końca, tak nie ma.

Wreszcie nadszedł wyrok od sądu. Truś i Zasoba mało nie wyskoczyli ze skóry z ciekawości, i co tchu pobiegli, dać sobie przeczytać pismo sądowe — ale jakież ich było zdziwienie, gdy się dowiedzieli, jako sąd uznaje, żeby tak zostało, jak było dawniej, to jest, aby Truś miał połowę łąki, a Zasoba drugą połowę.

A na dobitek całej tej biedy nakazał sąd, aby obaj zapłacili po kilkanaście reńskich kosztów komisyi, t. j. za drogę i fatygę tym urzędnikom, co zjeżdżali na grunt zbadać całą tę sprawę.

Otóż tobie proces! Truś i Zasoba zachodzili w głowy z frasunku i mało sobie włosów nie powyrywali, ale co to pomogło już teraz! Wtedy to mówi do nich stary Walenty:

— A co nie mówiłem wam, że tak będzie! A czemużeście nie słuchali starego?

— Aj cóż człek winien, kiedy ta gadzina pisarz tak namawiał i wabił, że i człeka skusił! Oj będę ja teraz i dziesiątemu zakazywał!

— Aha, mądry Polak po szkodzie — rzecze na to Walenty — to lada zdrajcę pisarczuka, co tylko na swój zysk i na cudzą kieszeń dybie, słuchacie, a ludzi starszych nie! Otóż i cały pożytek z takiej sprawy! No a macież pieniądze na zapłacenie sądu — bo to wam wnet spadnie na kark egzekucya?

— A tać to właśnie bieda, że nie ma czem płacić — rzecze Zasoba — musimy obaj sprzedać swoją połowę łąki, aby sąd zapłacić i długi zaspokoić,

— Macież teraz przykład, chciało się wam więcej a teraz i to straciliście coście już mieli. Zamiast połowy łąki, jak przystało, zapragnęło się wam całej, a teraz i połowy mieć nie będziecie! A ileż to chcecie za waszą łąkę!

— Ja za moją połowę 20 reńskich — rzecze Zasoba — a Truś także za swoją pewnie zechce dwadzieścia.

— To razem 40 reńskich — mówi na to Walenty — otóż ja od was za te pieniądze łąkę kupię. A aby wam to dobrze wytłumaczyć, to posłuchajcie co wam powiem: Prosiłem was, abyście mi dawali znać, co was stemple i inne sądowe wydatki będą kosztować, i za każdym razem taką samą sumkę pieniędzy kładłem sobie na bok. Jak wy i Truś dali pisarzowi albo do urzędu po reńskiemu, to ja zaraz te 2 reńskie odkładał na bok i oto widzicie, za te pieniądze teraz całą łąkę kupuję. Gdybyście wy także nie prawowali się, jeno pieniądze te, co was proces kosztował, chowali razem, tobyście byli nie tylko po połowie łąki mieli, ale jeszcze drugą taką łąkę kupić byście byli mogli! Niechże to teraz wam i drugim ludziom będzie na naukę!

Tak to Wojciech Truś i Marek Zasoba wyszli na procesie! Bierzcie przykład z tego, kochani bracia, żyjcie w zgodzie, nie słuchajcie podszeptów złych ludzi i oszustów i nie bądźcie chciwymi na cudzą własność!

Kasper Grzęda.

Historya o Bartku leniwym gospodarzu

spisana przez jednego ś. p. „Przyjaciela Pracy.“

VII.

Bartłomiejowa we dworze.

Dziedzic: A co to chcecie moja kobieto?

Bartkowa: Przyszłam też tutaj, bo ja jestem żona Bartłomieja z pod młyna.

Dziedzic: Toście wy żona tego próżniaka? Oj żal mi was bardzo, że takiego męża niegodziwego macie.

Bartkowa: A i cóż robić, jak Pan Bóg dopuści na kogo nieszczęście, to się tam już nie obroni.

Dziedzic: A i cóż to chcecie odemnie?

Bartkowa: Ej przychodzę też do wielmożnego pana, z prośbą, bo mój bardzo chory. Może nawet i nic z niego nie będzie, bo bardzo narzeka na wnętrze.

Dziedzic: Czemuż nie pójdziecie radzić się do doktora?

Bartkowa: Kaj tam doktora szukać, tymczasem zemrze mi chłop; żeby to pan dał jaki proszek, toby mu może pomogło, bo go okrutnie żga kolka.

Dziedzic: Moja kobieto, żebym słuchał tylko głosu sprawiedliwości, tobym mu nie powinien nic radzić, ale przez miłość chrześcijańską jak umiem tak poradzę. Macie tu moja kobieto proszek, rozmięszacie w półkwaterku wody i będziecie mu dawali co pięć pacierzy po łyżce. — Rozumiecie?

Bartkowa: Ej nie proszę pana, gdziebym ja tam zrozumiała.

Dziedzic: No poczekajcież, to ja sam pójdę i może coś mu poradzę zanim doktor przyjedzie — a z czegóż dostał boleści?

Bartkowa: Z dobrej woli proszę jegomości.

Dziedzic: Z dobrej woli? a może co zjadł?

Bartkowa: Jadł ci co prawda, ale nie wiele, tylko jajecznicę po piętnastu jajach, musiałam się aż fantować po sąsiadkach, tak okrutnie krzyczał że ma zachcenie do jajecznicy ze słoniną.

Dziedzic: Dziwię się że na takie zachcenie uważacie, bo to próżniackie zachcenie. Idźcież, idźcie do domu, a ja tam zaraz przychodzę.

Bartkowa: Dziękuję też wielmożnemu panu. Oj wiem ja wiem, że on nie tylko pana zarwał, ale i młynarza i organistę i szewca i innych po wsi, taki to już chłop próżniak.

VIII.

Dziedzic u Bartłomieja.

Dziedzic: Przyszło wam to na chorobę Bartłomieju.

Bartek: Oj przyszło mi przyszło, a przyjdzie i odemrzeć wszystkiego.

Dziedzic: I cóż was boli?

Bartek: Oj na wnętrzu mię tak żga z przeproszeniem.

Dziedzic: Możeście co zjedli niezdrowego?

Bartek: Mocny Boże, cóżbym ja też zjadł, kiedy w chałupie nic nie ma.

Dziedzic: Musi przecież coś być, kiedyście zjedli jajecznicę z piętnastu jaj.

Bartek: Zjadłem co prawda, ale tylko dla tego, żeby nieco sił skrzepić, żebym też wielmożnemu panu odrobił te pieniądze com wziął.

Dziedzic: Nie gadajcie o odrobku, bo wam się o tem ani nie śniło, ale mówcie coście jedli.

Bartkowa: Mnie się widzi, że mojemu groch w kiszkach rozpęcniał.

Dziedzic: Jaki znowu groch?

Bartkowa: Ej dzieci tam trochę uzbierały z obsianego pola.

Bartek: Niech tam wielmożny pan głupiej baby nie słucha... plecie to i plecie sama nie wie co.

Dziedzic: Widzicie Bartłomieju, to was ludzka krzywda tak rozpiera — niech wam Bóg nie pamięta. Zażyjcie sobie ten proszek na trzy razy, a jak zrucicie, to potem nic nie pijcie tylko letnią wodę, rozumiecie?!

Bartek: Oj rozumiem, rozumiem — dziękuję wielmożnemu panu.

IX.

Bartkowa u xiędza proboszcza.

Bartkowa: Oj dopraszam się też jegomości, żeby też można Bartka mego wysłuchać, bo też bardzo zaniemógł.

Xiądz proboszcz: Przecież wczoraj jeszcze chodził zdrowiuteńki — czekajcie moja kobieto, zaraz się zbiorę. I cóż mu się stało?

Bartkowa: Zaniemógł też bardzo po tym proszku, co mu pan dziedzic dali, na zwracanie. Jak zrócił, tak zesłabł bardzo, bo go stargało, i tak mu się jakoś dziwnie słabo zrobiło, że począł okrutnie wołać chleba świeżego na skrzepienie. Cośmy go naprosili nic nie pomogło, tylko ciągiem wołał chleba

i chleba. Więc sprzedałam żarna, bo co prawda to i nie było co na nich mleć i przyniosłam mu tego chleba. Jak sobie też pojadł i wody się napił wieczorem, tak przed północkiem chwyciły go okrutne boleści, a teraz oczy wytrzeszczył i całkiem zaniemiał, ani nikogo nie poznaje choć na niego wołamy, nic się nie odzywa tylko charcze a charcze.

Xiądz proboszcz: I teraz dopiero przychodzisz po pomoc duchowną, nieszczęsna kobieto, kiedy mąż kona. O ludzie! ludzie jakżeście niedbali.

Bartkowa: Bałam się iść budzić dobrodzieja po nocy, bo co prawda trzeba iść wedle cmentarza, to strach człeka zbiera.

Wnet xiądz proboszcz ubrał się i poprzedzony od chłopca dzwoniącego, ruszył przez pole śród ciemności niosąc Przenajświętszy wiatyk.

Skoro przyszli przed dom, słychać było krzyk dzieci. Kapłan przyspieszył kroku i wszedł do izby pytając:

— Gdzież jest chory?

— Już nie chory, tylko trup, proszę dobrodzieja, rzekł sąsiad młynarz, ten sam co chciał Bartka brać do roboty.

I xiądz proboszcz dopełnił obrzędu, jaki kościół święty przepisuje na przypadek, jeżeli kapłan już przy życiu nie zastanie chorego, a wszyscy obecni modlili się klęcząc.

Kiedy się obrządek zakończył, Bartłomiejowa poczęła wołać:

— O mój Boże! mój Boże serdeczny! że też ten próżniak dowojował się śmierci a mnie ubogą sierotę zostawił, ani ja na trumnę, ani na koszulę, wszystko wyterał, ludzie mię będą szarpać biedną wdowę za jego próżniactwo; styrałeś mi wszystko i krowy i korale; aniś zasiał, ani co zrobił w polu, a mnie biedną wdowę zostawił i umarł bez świętej spowiedzi, jakby nieme stworzenie.

— Nie grzeszcie kobieto! — mówił xiądz proboszcz — nie wymawiajcie nieboszczykowi, bo to na nic, a pomódlcie się za jego duszę i pomyślcie o pogrzebie.

Bartkowa: A z czegóż ja o pogrzebie pomyślę, kiedy ani deszczułki nie ma na trumnę, ani też nie ma go w czem wywieźć, bo wózek sprzedał.

Xiądz proboszcz: Uspokójcie się, ja się o to rozmówię z wójtem — niech was tu Bóg pociesza.

Zapytacie się bracia mili do czego się ta historya o Bartku stosuje. Oto do tego, że nie jeden tylko ten Bartek był na świecie, ale jest takich dosyć — nieraz widzieliście takich próżniaków, co się pracy boją jak ognia, radzi żyć cudzem a w biedzie umierają. Otóż ta historya dla tego jest spisana i wydrukowana, aby ludziom na oczy przedstawić jaki straszny koniec jest człowieka, który nie pracuje.

Kiedy pierwszy nasz rodzic zgrzeszył w raju, to pan Bóg powiedział, że człowiek ma odtąd w pocie czoła pracować na kawałek chleba; a św. Paweł apostoł mówi: „Kto nie pracuje niech nic nie je,“ a chociaż sam był apostołem Chrystusa Pana, to całe życie na chleb pracował.

A z tego wszystkiego taką naukę sobie wyciągnąć należy:

1. Skoro jest jaka robota, to nie trzeba mówić poszedłbym albo trzebaby może iść, ale zebrać się zaraz i chwycić roboty żeby nie tracić darmo czasu.

2. Kiedy człowiek ma co do zrobienia a drapie się w głowę, albo idzie nie idąc, lecz wlokąc nogi za sobą, to już źle, bo widno że mu się robić nie chce.

3. Nie należy nigdy brać, nawet i części zapłaty naprzód, bo potem się zdaje że człowiek darmo pracuje; gdyż jak przyjdzie wypłata, to drudzy biorą, a tamten co już wziął odchodzi z próżnemi rękoma.

4. Kiedy człowiek jednego dnia pracuje, niechże zaraz na drugi dzień nie odpoczywa ale robi przez cały tydzień aż do niedzieli, bo sam Bóg Wszechmocny dał nam przykład, że sześć dni pracować a siódmego odpoczywać należy.

5. Kiedy zaś człowiek robotę skończy, a pieniądze za nią weźmie, niechże ich lekko nie puszcza, ale szanuje i na pożyteczne rzeczy obraca, a Bogu dziękuje że mu dał i siły do pracy i zdrowie do roboty, i udzielił kawałek chleba powszedniego. Tak robiąc dorobi się człowiek nie tylko pomyślności na ziemi ale i szczęścia w niebie.

Piękne przykłady.

Dziatwa szkolna w Lutczy.

Za święty poczytuję sobie obowiązek donieść wam kochani wieśniacy i wam pilni uczniowie i grzeczne uczennice o pięknym przykładzie uczniów i uczennic w szkole ludowej w Lutczy.

Nim zaś o tem, co dzieci dobrego uczyniły, wspomnę, powiem wam wprzódy, że szkoła w Lutczy trzeci dopiero roczek jak weszła w życie. Od początku ten sam pracuje nauczyciel a dzieci chętnie i pilnie biegną do szkoły, jakby kurczęta pod skrzydła matki swojej. Tu żwawą prowadzą rozmowę to się witając wzajemnie, to sobie opowiadając ciekawe historyjki, bajeczki, bo musicie wiedzieć, że te dzieci nawet same sobie „Dzwonek“ zapisały i go czytają, to znów ciekawie młodsze starszego, mniej rozumne rozumniejszego o znaczenie słowa pojedyńczego lub powiastki się wypytuje.

Nie dawno temu, bo przy końcu lutego tego roku zasłabł nauczyciel na mocne zapalenie gardła, przez co dłużej pozostać musiał w łóżku.

Dzieci kilka dni błąkały się i nie wiedziały co czynić, pomimo, że nauczyciel zawsze jakie takie zarządzał zatrudnienie. Lecz gdzie nie ma głowy, tam i członki władać nie mogą, stará to prawda jak świat, tak też widząc nauczyciel nieład w szkole, rozpuścił wszystkich i dopiero za cztery dni zejść się im kazał. Smutne dzieci jednak schodzą się na drugi dzień do szkoly o niezwykłym czasie, chodzą tędy i owędy jak gdyby kogoś wyzierały, jakby w pary się szykowały i na coś oczekiwały. Aż oto daje znak dzwonek kościelny, iż czas pospieszać na mszę świętą. Dzieci ruszają się z miejsca i idą spokojnie do kościoła. Msza święta wychodzi a drużyna mała z podniesionym duchem zasyła modły do Stwórcy i prosi o zdrowie swego kochanego nauczyciela.

Nie potrzebuję wam mili bracia i wam grzeczne dziatki już i mówić, bo się sami domyślicie, że to same dzieciaki dały na intencyę swego nauczyciela na mszę świętą, którą szanowny kapłan ze wzruszeniem, jakiego z tej przyczyny doznał, na ich żądanie odśpiewał.

A co za skromność u tych dzieci, ani byście się nie spodzieli. Żadno wam się nie chciało przyznać ani nauczycielowi ani nikomu, kto z nich był pierwszym, który wszystkich jedną natchnął myślą i do chwalebnego pobudził czynu, i do dziś dnia jak kamień rzucił w wodę, nikt się od nich tego nie dowiedział i już podobno się nie dowie.

Wszystko to wiem dokumentnie, bo bardzo blisko Lutczy mieszkam i w zażyłości żyję z tamtym panem nauczycielem a wam dla tego to piszę, żebyście opowiedzieli dzieciom waszym, których do szkoły wysełacie, aby sobie brały piękny przykład od dzieci szkolnych z Lutczy i podobnie miłością odwdzięczały się swemu nauczycielowi za żmudną około ich dobra pracę.

Antoni z pod Strzyżowa.

RÓŻNOŚCI.

Śmierć mordercy. Zdarzył się niedawno temu wypadek, który jest strasznym przykładem dla całego świata, jak zbrodnię, choćby nie została ukaraną przez ludzi, ściga srogi gniew sprawiedliwego Boga! Toć wszystkim wam pewnie tkwią jeszcze w pamięci owe straszne, do Boga o pomstę wołające mordy, okrucieństwa i rabunki, które w niektórych okolicach lud wiejski, za sprawą szatana i złych ludzi popełnił temu lat dwadzieścia na swych własnych braciach, na panach polskich! Sprawiedliwość ludzka nie ukarała wówczas tych dzikich zbrodniarzy i strasznych morderców — ale gniew Boży dosięgnął ich przecie. Wszyscy prawie ci rabusie i mordercy, co się zbryzgali krwią niewinną, skapali marnie jak psy, wśród męczarni własnego sumienia! Otóż teraz donoszą z kołomyjskiego, tam gdzie to między ludem głód wielki panuje, że gdy tam w jednej wsi rozdawano wieśniakom biednym zapomogę i strawę, nadszedł jakiś dziad stary w brudnych i poszarpanych łachmanach, cały zarośnięty jak zwierz, zjedzony prawie żywcem przez głód, nędzę i chorobę, i padł przed domem bez duszy. Zaczęto go tam zaraz trzeźwić i ciepłą strawą zalewać i pytano go,

zkąd jest — a on ledwie mógł odpowiedzieć, że idzie na Mazury. Później gdy ten nędzarz przyszedł trochę do siebie, opowiedział sam, że on był pomocnikiem tego okrutnego zbrodniarza i mordercy, Szeli, tego dzikiego i nieludzkiego złoczyńcy, co tyle krwi niewinnej przelał i drugich ludzi do strasznej zbrodni za sobą pociągnął. Szela skapał już dawno w mękach sumienia i choroby, i już pożarło piekło tego łotra, na którego włosku każdym ciężyła zbrodnia, mord i krew do niebios o pomstę wołająca. A ten jego pomocnik, co z nim razem palił, rabował i mordował, był razem z tym Szelą na Bukowinie, ale nie mógł znaleźć cichego miejsca przed sobą samym; jak on wpierwej ludzi, tak jego teraz sumienie paliło i mordowało. Przez dziesięć lat tułał się ten człowiek po świecie, a wszędzie go okropne wiedźmy zbrodni goniły bez wytchnienia, i srogi gniew i pomsta sprawiedliwego na każdym go kroku ścigała! Syn owego Szeli, u którego chciał siedzieć na Bukowinie, wypędził go sam z chaty, a on chciał się dostać nazad w Tarnowskie, na Mazury. Ale głód, choroba i sumienie zabiły go w drodze, męczył się długo a ciągle wołał:

— O ukarał mnie Bóg strasznie za moje grzechy!

Tak nędznie skonał ów zbrodniarz, może już ostatni z tych, co wówczas mordowali, a pewnie już na wiek wieków ostatni taki Polak, co własnych braci krew przelał. Nie znajdzie on spoczynku i w grobie, tak jak go nie znalazł na ziemi za życia, bo dla takich zbrodniarzy nie masz ratunku i miłosierdzia ani na ziemi ani przed majestatem Bożym!

Pies i człowiek. Pewien Anglik siadł na morze na okręt, jadąc gdzieś za interesem. Miał on ze sobą psa ulubionego, któremu to psu, dziwna była jazda na okręcie, był więc niespokojny, latał z miejsca na miejsce nareszcie buch, i wskoczył do morza. Anglik sturbowany, krzyczy, woła, aby okręt zatrzymać, lecz kapitan odpowiada, że dla zwierzęcia nie wolno zatrzymywać okrętu.

— A gdyby człowiek wpadł w morze, zapytał się Anglik, czyby zatrzymano okręt?

— A dla człowieka zatrzymanoby natychmiast — odrzekł kapitan.

Na te słowa Anglik, nie wiele myśląc bęc w morze. Oczywiście okręt zatrzymali, i wyratowali i Anglika i jego ulubionego psa. Widzicie, jak to dobre czułe serce człowieka to nawet zwierzęciu nie da zginąć darmo.

PRZYPOWIEŚCI.

Kto garstką ziemię znosi, góry się doczeka,
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.

Nie będziecie nigdy bracia w swych zachceniach hardzi,
Nie wart ten wielkiego, kto maleńkim gardzi!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.